

Spotkanie z kosmitą

Władysław Komendarek nazywany jest „praojcem polskiej muzyki elektronicznej”. Inspiracje czerpie jednak niemal ze wszystkich gatunków muzycznych. Fascynuje go łamanie konwencji.

Rozmawialiśmy z artystą przy okazji marcowej projekcji filmu „Metropolis” w reżyserii Fritza Langa z 1927 roku z muzyką wykonywaną na żywo. Podczas widowiska w Teatrze Wielkim wraz z Władysławem Komendarkiem tworzyli ją sopranistka Agnieszka Makówka i gitarzysta Igor Gwadera.

Magdalena Prokop: - Który raz tworzy pan muzykę na żywo do projekcji „Metropolis”?

Władysław Komendarek: - Zaczęło się jakieś 10 lat temu. Pierwszy taki koncert z moim taperingiem odbył się w Sochaczewie - miasteczku, w którym mieszkam. Przedtem obejrzałem ten film tylko raz, w kinie. Stwierdziłem, że tyle się w nim dzieje, że do stworzenia muzyki do niego jest potrzebny cały mój warsztat, jeśli chodzi o elektronikę. Później zagrałem „Metropolis” kilka razy w Warszawie, dwa razy w Gdańsku, a w Łodzi gram z rozszerzonym składem, czyli z Agnieszką Makówką i Igorem Gwaderą.

Jak powstał ten projekt?

- Jako taper zawsze grałem sam. Jednak jeśli tworzę muzykę na żywo, a osoby, które ze mną współpracują, też lubią improwizację, jak Agnieszka Makówka czy Igor Gwadera, ma to pozytywne skutki. Jeden artysta inspiruje się drugim. To jest energia, której nigdy nie da się wytworzyć w studiu.

Czym inspiruje się pan przy tworzeniu improwizacji do „Metropolis”?

- Najtrudniejsze jest zsynchronizowanie muzyki z obrazem. To nie jest zwykły koncert, gdzie gra się utwory trwające cztery, pięć minut. Tu trzeba cały czas panować nad tym, żeby w danym momencie pojawił się odpowiedni motyw, improwizacja czy inna forma. To obraz dyktuje, co zagram za sekundę czy za trzy minuty. Akcję wzbogacam „kosmicznymi” dodatkami. Na przykład, gdy na filmie w klatce wstaje metalowa kobieta, musi być wzniosła muzyka i narastająca dynamika. Dodatkowo podkreślam tę scenę laserem.

Co fascynuje pana w tym filmie i powoduje, że pan do niego wraca?

- Uważam, że ten obraz - który został tak dawno wyprodukowany i jak na owe czasy osiągnął zdumiewające efekty wizualne - jest mistrzowski. Mimo że gram muzykę na żywo do „Metropolis” już po raz ósmy czy dziewiąty, ciągle odkrywam w nim coś nowego. Do każdej projekcji powstaje inna muzyka. Były momenty, że grałem bardziej rockowo, jazzowo, ale teraz może być jeszcze inaczej. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mieli za każdym razem coś powtarzać.

Dlaczego w czasach wszechobecnej popkultury sięga się do takich pierwotnych form, jak kino nieme?

- Gdy twórca coś robi - bez względu na to, czy jest to plastyk, muzyk czy reżyser teatralny - najlepiej, jeśli wyprzedza czas. Ale to jest ryzykowne, bo może być niezrozumiany przez ludzi swojej współczesnych. Ja jestem wolny, nie chodzę do firm fonograficznych, nie błagam. Czasami znajdują się fanatycy, którzy mówią: „Powinieneś dostać Oscara!”, a ja im odpowiadam: „Tu nie chodzi o Oscara. Tu chodzi o to, aby człowiek, robiąc coś, był niezależny”. Niektórzy chcą zdobyć w krótkim

czasie dużo pieniędzy i to ich gubi. Pieniądze są ważne, ale ważniejsze jest to, co siedzi w głowie. A mnie pomysłów nie brakuje.

Czerpie pan inspiracje z wielu gatunków muzycznych. Skąd ta chęć przekraczania granic?

- Trzeba być odważnym i nie sugerować się tym, co słychać wokół, na przykład w radiu, tylko wymyślić coś nowego, niespotykanego. W 1989 roku zostałem zaproszony na festiwal muzyki awangardowej do Linz w Austrii, gdzie zaproponowałem eksperyment, którym wyprzedziłem epokę o dziesięć lat. Mam to nagranie do dziś - nie zostało jeszcze wydane. Ktoś kiedyś zapytał mnie: „Co jeszcze można w muzyce wymyślić? Już się nic nie da”, a ja mówię: „Trzeba łamać konwencje”.

Kiedy pojawiła się u pana fascynacja muzyką?

- Gdy miałem 11 lat, w moim życiu pojawił się Mozart. Nie lubiłem odtwarzać muzyki z nut. Mogłem grać z pamięci - kiedy czegoś zapomniałem, dodawałem od siebie, zachowując ciągłość i strukturę utworu. Zawsze pozostają w głowie jakies wpływy, ale później człowiek się buntuje przeciwko innym kompozytorom - to normalne. Najważniejsze, żeby nie wstydzić się korzeni. Każdy je ma - Led Zeppelin, Yes, Genesis czy inni. Jest taki moment - u wszystkich muzyków - że nie grają nic twórczego. A po latach nagle otwierają im się głowy i są jakby innymi ludźmi. Tak było na przykład z Beatlesami.

Czym inspirował się zespół Exodus, którego w późniejszych latach był pan członkiem?

- Mieliśmy zbliżone upodobania muzyczne. Ja bardzo szanowałem między innymi Genesis, Yes, Jethro Tull, wczesny Queen. Do dziś mam zeszyt, pożółkły już ze starości, w którym zapisywałem nazwy moich ulubionych kapel. Był wśród nich zespół, który miał tak długą nazwę, że trudno było ją wymówić.

Może Ten Years After?

- Na pewno. Moje korzenie to mistrzowski klawiszowiec Keith Emerson z grupy Emerson, Lake & Palmer. Miał niesamowitą energię i robił niezwykle rzeczy na scenie. Gdy grał koncert w Moskwie, zauważyłem, że w prawej ręce miał skręcone dwa palce. Używał tylko trzech pozostałych, ale dawał sobie radę. Słyszałem, że miał niedowład ręki - może dlatego się załamał i popełnił samobójstwo. Emerson łamał konwencję, a to mnie kręci najbardziej.

Dlaczego po rozpadzie artrockowego Exodusu zdecydował się pan iść w stronę muzyki elektronicznej?

- Pierwsze cztery lata działalności zespołu to była ostra praca. Zdarzało się, że nawet perkusista śpiewał w chórkach. Zawsze fascynowały mnie zespoły, w których wszyscy śpiewają, na przykład The Beach Boys. Później w Exodusie od tego odstąpiliśmy. Uważam, że wokale jest bardzo ważnym elementem muzyki - bez względu na to, czy to jest rock, hardrock czy artrock. Po odejściu z zespołu nadużywałem wokalu. Niektórzy mówili: „Po co wokale do instrumentalnej muzyki elektronicznej?”. A mnie się to podobało. Głos wprowadza większą energię i emocje.

Jak powstają pana utwory - praca polega na gromadzeniu inspiracji i materiału, czy jest to chwila nagłego oświecenia, po której zaczyna pan komponować?

- Zaczynam od tego, że cały sprzęt jest podłączony i ustawiony na nagrywanie. Jeśli nie mam natchnienia, zajmuję się czymś innym - programowaniem brzmień. Robię to przez około trzy

miesiące. Kiedy mi się znudzi – odpoczywam kilka dni i biorę się za muzykę. Punktem wyjścia do komponowania zawsze jest jakieś brzmienie, które stworzę. Pobierane z Internetu barwy mnie nie inspirują. Niektórzy się dziwią: „Jak na instrumencie z 1989 roku można zaprogramować takie chóry?”. Zrobiłem trzy tysiące barw. Poświęciłem na to pół roku albo i więcej. I w sekundę mogłem to stracić, gdyby instrument po prostu odmówił posłuszeństwa. Kiedyś, gdy się zepsuł, załamałem się i chciałem go wyrzucić do Wisły – całe szczęście został naprawiony i dzięki temu udało się uratować pięćdziesiąt utworów. Bardzo przeżywam, kiedy coś mi nawali.

Jak postrzega pan współczesną muzykę elektroniczną? Ma dobre warunki do rozwoju?

– Ma, tyle że nasza cywilizacja artystyczna jest skażona modami. Elektronika to miliardy możliwości, tylko trzeba otworzyć głowę. Jest taka grupa, która nazywa się Daft Pank. Uważam, że pomimo dobrze rozwiniętej w ich przypadku technologii, podejście do przestrzeni reżyserskiej w tej muzyce jest na trzy minus. Przy obecnych możliwościach realizacji nagrań i produkcji muzycznej, za mało się dzieje w kwestii usytuowania dźwięków w przestrzeni.

Jakie uczucia, historie przemawiają przez pana muzykę?

– Bardzo inspiruje mnie świat. Czasami zastanawiam się: „Dlaczego tu jest tak, a nie inaczej? Dlaczego człowiek przeciętnie śpi osiem godzin, a nie inaczej? Dlaczego dzień trwa 12 godzin, a nie na przykład pięć dni ziemskich?” Interesują mnie inne światy poza naszą cywilizacją. Chciałbym tam dotrzeć, chociaż wiem, że to niemożliwe. To wszystko przelewa się na muzykę. Nie ciekawi mnie tradycja – mnie interesują wynalazki. Denerwuje mnie wszystko, co jest tutaj źle robione.

A co jest źle robione w naszym świecie?

– Denerwuje mnie wycinanie lasów. Sam mieszkam w lesie. Tu człowiek ma lepszą kondycję – gdy staje się później na scenie, ma się inną energię. Trzeba współczuć osobom, które mieszkają w centrum miasta. Do Warszawy jeżdżę tylko wtedy, kiedy muszę. Bawi mnie patrzenie na ważki, pająki. Po mrówkach widzę, kiedy nadejdzie wiosna. Mam teraz problem, bo one przechodzą przez mój pokój. Nic nie noszą, tylko wędrują. Niech sobie chodzą. Nie wyobrażam sobie, żebym mieszkał na dwudziestym piętrze wieżowca gdzieś w Warszawie i tam tworzył muzykę. Wykończyłbym się. Wolę mieć gorsze warunki, ale żeby były drzewa. Kiedyś widziałem, jak szerszeń zaatakował pszczołę i ją zjadł. To było ciekawe, a ja nie miałem kamery, żeby to zarejestrować. Kiedyś do mojego domu wleciało 300 szerszeni. Akurat wtedy do drzwi zapukała telewizja. To też było ciekawe.

Film dokumentalny o panu ma tytuł „W kosmosie zawsze jest dobrze”. Ziemia panu nie wystarcza?

– Reżyserzy filmu – Dawid Brykalski i Marcin Nowak – zobaczyli, w jaki sposób poznaję świat i jak do niego podchodzę. Nie dostrzegam tego, co mi się tu nie podoba. Patrzą tam, gdzie czasami nic nie ma. Niech pani sobie wyobrazi: jesteśmy w Łodzi, idziemy ulicą i nagle człowiek unosi się bez skrzydeł – za chwilę przyjeżdża policja i chce go załatwić, bo to jest anormalne. Nie cierpię wojny. Nie akceptuję tego. Czy rozum jest dany po to, żeby jeden z drugim żył w niezgodzie? Tytuł filmu – „W kosmosie zawsze jest dobrze” – jest taki, bo ja nie zachowuję się w nim tradycyjnie po ziemsku. Nie muszę żyć w hotelu dziesięciogwiazdkowym. Artysta nie ma pretensji do nikogo – jemu wszystko pasuje. A ludzie przyzwyczajają się do komfortu. Widzę to po swoich kolegach. Wydaje mi się, że jestem inny, bo nie robię z tego problemu. Podobno gdy gram koncerty, nigdy nie pada deszcz. Gdy wchodzę na scenę, przestaje padać, a kiedy grają inni – pada. To bardzo ciekawe. Miałem tak już kilka razy...

Rozmawiała Magdalena Prokop - autorka jest studentką II roku dziennikarstwa i komunikacji społecznej UŁ oraz uczestniczką warsztatów dziennikarskich "Kalejdoskopu"

Foto: Małgorzata Wojna